



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Halina Bielecka

Zburzone dzieciństwo

Z zakamarków pamięci powracają przeżycia, które kiedyś odcisnęły swe piętno. Powracają upiornym koszmarem, chociaż minęło już tyle czasu...

W 1939 roku miałam 9 lat. Na dwa lata przed wojną wyprowadziliśmy się spod warszawskiej miejscowości (Legionowo) – zalesionej i piaszczystej – do Warszawy. Do dziś nie wiem, czym kierował się mój ojciec sprowadzając nas do stolicy, gdzie było nam dane przeżyć okropności wojny. Początkowo mieszkaliśmy w prawobrzeżnej Warszawie, później – już w sierpniu 1939 roku – na ulicy Browarnej. Pamiętam doskonale te ciepłe sierpniowe dni, ponieważ jeszcze trwały wakacje, a ja jeździłam „ciuchcią” nadwiślańską na półkolonie do Międzyzlesia (tego na linii Otwockiej). Na pewno po sprowadzeniu się do Warszawy miałam wiele atrakcji. Codzienne dojazdy „ciuchcią” na półkolonie i powrót wieczorem do domu, zmiana otoczenia, miejski ruch, dorożki, tramwaje – bardzo mi się to wszystko podobało.

Na podwórkach i ulicach nie ustawały hałasy dzieci korzystających z ostatnich dni wakacji. Cóż nas – dzieci mogło obchodzić, że świat już wrzał, że wojna wisiała „na włosku”. Umęczeni całodziennymi atrakcjami usypialiśmy jeszcze spokojni i bezpieczni pod skrzydłami rodziny.

Było nas w domu czworo – dwóch starszych braci (18 i 16 lat), ja (10 lat) i młodszy braciszek (4 lata). W naszej rodzinie nigdy nie było atmosfery politykowania, angażowania się w sprawy partii czy rządu. Był jednak patriotyzm. Ojciec mój był przedwojennym podoficerem zawodowym – dyrygentem orkiestry wojskowej w Modlinie. W 1933 czy 1934 roku odszedł ze służby na rentę. Nigdy nie należał do żadnych zrzeszeń, organizacji czy partii.

W sierpniu 1939 roku w mieście z dnia na dzień odczuwało się jakieś wrzenie i niepokój. Gazety i radio podawały jakieś sensacje światowe. Słyszało się przekazywane z ust do ust: „mobilizacja”, „wojna”, „mobilizacja”, „wojna”... Trudno wobec takiej sytuacji pozostać biernym. Na ulicach pojawiły się obwieszczenia i przemawiać miał prezydent miasta. Mężczyźni – ochotnicy winni zgłosić się do obrony Warszawy, do kopania rowów przeciwlotniczych itp.

W domu zapanował straszny niepokój i płacz matki. Mój najstarszy brat stanął na ten apel jako ochotnik do obrony Warszawy. W oznaczonym dniu i miejscu stawił się, jak wielu jemu podobnych ideowych zapaleńców. Matki i najbliżsi odprowadzali i żegnali ze łzami tych młodych – lekko jeszcze poubieranych „ochotników” – nie zdając sobie sprawy, jaki los miał ich już niedługo spotkać.

Nastało w domu ogólne przygnębienie, a na podwórkach skończyły się hałasy i zabawy. Zrobiło się jakoś tak dziwnie. Matka ciągle wysłuchiwała komunikatów i oczekiwała.

Ludność Warszawy zdeorientowana. Sklepy pozamykane, domowe zapasy się pokończyły. Pierwszy głód daje się we znaki. Pomimo posiadania pieniędzy nic kupić nie można. Pamiętam pierwszy wojenny posiłek. Matka wysłała średniego brata do pobliskiego sklepu „od tyłu” – tak się to wówczas mówiło, bo czasem w prywatnym sklepiku jeszcze po zamknięciu można było coś kupić. A tu niestety – wszystko wykupione, pustki. Sklepiarz miał jeszcze tylko bardzo czerstwe pieczywo, takie chały. Gdy w domu ujrzelśmy te chały, to bardzo się ucieszyliśmy. One jednak okazały się twarde jak kamień. Matka zrobiła jakiejś herbaty czy kawy (mleka nie było) i w tym ciepłym płynie moczyliśmy twarde kawałki, nie zwracając uwagi, że na wierzchu pływają białe robaczki. Był to nasz pierwszy wojenny posiłek.

Na obłożoną Warszawę spadają pierwsze bomby. Pierwsze naloty dawały się ludności we znaki. Syreny często przerywały nocny wypoczynek. Padali zabici, domy sypały się w pył. Udręczona stolica broniła się, lecz niedługo. Mój średni brat stał się bardzo zapobiegliwy i odważny. Wybiegał wraz z innymi na ulicę i zdobywał jakiś kawałek mięsa z padłego od pocisku konia. Ten posiłek był wielkim rarytasem. Bardzo smakowało mięso z ryżem.

Któregoś dnia we wrześniu na naszej ulicy zapanował wielki warkot i szum. Wszyscy, oprócz mężczyzn, wybiegli na ulicę i oczom naszym ukazały się jakieś wielkie „smoki”, czy jakieś „stwory”, które robiły wiele hałasu i kurzu. My dzieci chowaliśmy się i tuliliśmy do matek – wychylając jednak ciekawie głowy. Czołgi przejechały. Ludzie wracali do swych domów jacyś przygnębieni. Chyba jeszcze wielu z nich nie zdawało sobie wtedy sprawy, jaką niesły nam zagładę te „stalowe smoki”.

Warszawa zajęta. Po wkroczeniu Niemców ogłoszono, że wszyscy mężczyźni od lat.... do lat.... mają się zgłosić z dokumentami tu... i tu... Poszedł mój średni brat z ojcem. Brata zaraz wypuścili, ale ojciec bardzo długo nie wracał. Matka biegała kilka razy pod ten budynek i wypytywała co się z nim dzieje. Wyszedł na drugi dzień. Powiedziano mu, że zostanie wezwany po zwrot dokumentów. Pytali również o starszego brata, ale ojciec powiedział, że jego nie ma w Warszawie.

Przyszło wezwanie, aby ojciec stawił się po dokumenty. Zamiast niego poszła matka. Powiedziała, że jest chory i nie może się zgłosić. Jakoś się udało – oddali dokumenty.

Po miesiącu niepokoju, nasłuchiwania komunikatów o naszych wojskach, oczekiwania na jakiś znak – ucichło wszystko – a więc kapitulacja. Nasze armie rozgromione, rozbite, rozproszone. A zatem Polska znalazła się w niewoli, pod całkowitą okupacją niemiecką.

Któregoś ranka zapukano delikatnie do naszych drzwi i matki oczom ukazał się mój brat „wojak”. Nie był tak radosny i dumny, jak wtedy, gdy wychodził z domu. Wrócił przegrany, zbankrutowany, oberwany, zarośnięty, z ranami na nogach. Przyszedł biedak pod osłoną nocy. Ile on wtedy przeżył, nie byłam w stanie jako dziecko rozumieć i wiedzieć. Wiem, że matka płakała nad nim i opatrywała mu ranne nogi. Potem z opowiadań dowiedziałam się, że Niemcy otoczyli ich i rozgromili (nie pamiętam w jakiej miejscowości). Nasi nie byli jeszcze uzbrojeni i umundurowani, więc poddali się biedacy bez walki. Niemcy zrobili z tych bezbronnych „wojaków” osłonę swoich czołgów, przykuwając ich za nogi do maszyn. Później, widząc że wojsk polskich nie ma, że mogą bezpiecznie wkraczać dalej – zostawili ich w jakiejś szopie. Stamtąd kto z nich jeszcze mógł uciekał nocami przez pola o głodzie i chłodzie. Pamiętam jak później opowiadał, jak był głodny, jak wygrzebywał w polu nocą jakieś marchewki, by z głodu nie paść i dotrzeć do domu. Od powrotu mojego brata zaczęto mówić bardzo cicho w domu.

Przeprowadziliśmy się z ulicy Browarnej na ul. Nowy Zjazd do wielkiej kamienicy 7-piętrowej. Początkowo mieszkaliśmy na 5 piętrze, ale bardzo krótko. Następnie przeprowadziliśmy się na sam parter – do takiego lokalu sklepowego. Wyjście z tego mieszkania było bezpośrednio na ulicę – Rynek Mariensztacki. Podobno ojciec nosił się z zamiarem otworzenia w tym lokalu jakiegoś sklepu czy interesu, ale nigdy nie było mu dane tego zrealizować. Matka zawsze ojcu wypominała, że wprowadził nas do „zimnej nory”.

Szkoła jeszcze nie funkcjonowała. Głód i chłód dawały się we znaki. Ja z młodszym bratem chodziłam nad Wisłę. Jeździły tam pociągi do elektrowni (tej na Powiślu). Zbieraliśmy kawałki węgla, który spadł z wagonów i czasem jakieś skrzynki, czy drewno na rozpalkę. Tym ogrzewaliśmy nasze mieszkanie. Ojciec przez całą okupację się ukrywał. Nie wychodził z domu.

Przyszła zima. Skończyły się pieniądze i zapasy. Buty podarte, chłodno i głodno. Matka, jako przedwojenny pracownik banku, została skierowana przez Arbeitsamt do pracy w Wytwórni Papierów Wartościowych na ul. Sanguszki. Jest więc jakaś pensja, jakieś deputaty – bo urzędy państwowe właśnie je otrzymywały.

W okupowanym mieście nastąpiło apogeum bestialstwa. Urzędy sprawowane przez Niemców, egzekucje, łapanie, godzina policyjna, kartki na chleb, niektóre sklepy tylko dla Niemców, teatry i kina tylko dla Niemców, szkoły bez nauki historii i geografii. Zastraszeni ludzie bali się na dłużej opuszczać swoje domy.

My z braciżkiem przez pierwszy rok okupacji nie chodziliśmy do szkoły. Dopiero w drugim roku ją poszłam do 3 klasy, a on do 1 klasy. Starszy brat po wygojeniu ran zaczął wypuszczać się na miasto, aby

zahaczyć się do jakiejś roboty. Ojciec przecież nie wychodził i nie zarabiał. Tyle osób nie mogło się utrzymać z tej jednej pensji matki.

Któregoś dnia najstarszy brat wyszedł na miasto i więcej nie powrócił. W domu tragedia i płacz, szukanie, dopytywanie się o niego. Jak się okazało, był już na ulicy Skaryszewskiej, w miejscu gdzie hitlerowcy segregowali złapanych i transportami wywozili na roboty do Niemiec. Matka dowiedziała się o tym i poszła biedna na ulicę Skaryszewską. Jednego dnia niczego się nie dowiedziała. Poszła drugiego dnia. Wtedy ujrzała twarz syna w oknie. Coś wymachiwał do matki, ale Niemiec stojący przed budynkiem nie pozwalał podejść bliżej. Każdy chciał coś usłyszeć od swojego najbliższego, czegoś się dowiedzieć, a może nawet po raz ostatni zobaczyć bliską mu osobę. I tak w tym tłumie matka coraz bliżej podchodziła pod budynek. A Niemiec krzyczał „weg, weg” i zaczął bić ludzi kolbą i kopać. Matka moja została silnie uderzona w plecy. Ledwo się przywlokła zapłakana do domu. W domu znów przygnębienie i oczekiwanie na jakąś wiadomość.

Matka wiedząc o tych łapanek upominała średniego brata, aby domu nie opuszczał. Ale długo nie trwało, jak on też kiedyś wyszedł i nie wrócił. Za kilka dni przyszedł do nas jakiś człowiek i przyniósł karteczkę od niego o treści: „Jestem złapany – dam znać o sobie jak tylko będę mógł.” W domu ogromna rozpacz. Wciąż wyczekujemy na jakąś wiadomość od wywiezionych braci.

Na ulicach Warszawy coraz częściej ludzie ze sobą rozmawiają, „politykują”, dzielą się wiadomościami z frontu o wojskach niemieckich. Krążą po mieście satyryczne piosenki o Hitlerze. Pomimo, że „szczekaczki” umieszczone na ulicach „szwargoczą”, że zwycięstwo, że victoria na wszystkich frontach – słyszy się też, że to już koniec wojny. Ale wojna trwa dalej, nic się nie zmienia w naszym życiu. Pojawiają się coraz częściej obwieszczenia o egzekucjach. My z braciszkiem chodzimy do szkoły, a po lekcjach idziemy do zakonnicy na ul. Tamka (Powiśle). Tam prowadzona była świetlica, w której można było odrabiać lekcje, dostawało się kromkę chleba i kubek kawy lub obiad. Potem wracało się do domu. Bardzo nie lubiliśmy tam chodzić, bo zakonnice były srogie i karały dzieci. Jak tylko udało nam się uciec, to bardzo byliśmy zadowoleni. Chodziliśmy, wałęsaliśmy się po ulicach. Matka i ojciec o tym nie wiedzieli.

Ze szkołą też były całe perypetie. Przez okres dwóch lat okupacji przenoszono ją chyba z 6 czy 7 razy w roku. Ledwo pochodziliśmy trochę do jakiejś szkoły, to już Niemcy kazali ją opuszczać na szpitala dla rannych. Ponieważ nasze klasy były najmłodsze, więc dużo nacisku też nie było na jakieś regularne chodzenie, uczęszczanie, czy też wyciąganie konsekwencji w stosunku do nieobecnych – okupantowi najmniej na tym zależało.

Z każdym rokiem na ulicach pojawiała się coraz więcej biednych, obdartych, żebrzących ludzi – dorosłych i dzieci. Ale widziało się też ludzi żyjących w dostatku – Folksdojczów i innych „kombinatorów”. Nieźle wiodło się też handlującym mięsem, ale oni też byli ciągle narażeni. Na przykład matka mojej koleżanki z ulicy Sowiej wozila ze wsi mięso. U niej nie brakowało chleba, ani do chleba. Lubiałam chodzić do niej do domu, bo zawsze pachniało z kuchni świeżym, smażonym mięsem, albo słoniną. Ona wiedziała, że u mnie w domu tego nie ma, więc czasem częstowała jakimiś przysmakami. Była najlepszą moją koleżanką.

Na ulicach, pomimo łapanek, ludzie handlowali czym kto mógł. Ja mieszkalam przy Rynku Mariensztackim, więc często byłam świadkiem, jak podjeżdżały „budy” i Niemcy wyłapywali handlujących. Ludzie widząc „budę” uciekali w popłochu, gdzie kto mógł. My dzieci też chowaliśmy się do bram domów. Na ten targ przy ul. Mariensztat zjeżdżały w piątek również furmanki z podwarszawskich miejscowości – z kwiatami i warzywami. Zawsze jak tylko nie szliśmy do szkoły biegłam do „znajomego” furmana i pomagałam mu handlować. Dostawałam za to marchewkę, cebulę, kartofle i te „zapracowane” warzywa niosłam do domu.

Mój ojciec bardzo niedomagał. Nie mógł się leczyć, bo nie pracował i nie był ubezpieczony. Matka chodziła do rejonowego lekarza i brała leki dla siebie na chorobę ojca. Biedny mój ojciec zadreślał się panującą sytuacją. Dokąd to tak będzie? Wszyscy pytali i nie mieli znikąd odpowiedzi. Kiedy koniec tej okropnej wojny?

Przyszło lato. Nie ma kolonii. Wałęsaliśmy się po ulicach. Matka nas wywoziła do jakichś kuzynek pod Warszawę. Ale my zbyt długo nie lubiliśmy być poza domem. Jakiś niepokój gnał nas do rodziców. Rodziny bliższej na wsi nie mieliśmy, a więc nic tam nas nie trzymało. Najlepiej czuliśmy się w Warszawie. Robiliśmy sobie z braciszkiem wyprawę przez ulicę Nowy Zjazd, Plac Zamkowy, przez Stare Miasto do ulicy Sanguszki, gdzie pracowała nasza matka. Tam szliśmy do niej na spotkanie i czekaliśmy aż wyjdzie z pracy.

W mieście zaczęło być głośno o prześladowaniach ludności żydowskiej. Tworzono getto. Ulice otaczano wysokim murem, za którym gromadzono bezbronnych ludzi. Często się widziało małe żydowskie dzieci żebrzące, chodzące pod murami od bramy do bramy, uciekające w popłochu przed Niemcami. Ponieważ ja mieszkalam „od ulicy”, często również do nas przychodzili i prosili, żeby im coś dać – chleba lub czegoś do picia. U nas w domu nie przelewało się, ale zawsze kawałek chleba się znalazł, cebulka czy kartofle. Trzeba tylko było bardzo uważać, żeby ktoś nie oskarżył, że się coś Żydom

podaje. Groziła za to kara śmierci. My dzieci jednak nad tym się nie zastanawialiśmy, a rodzice nam nie zabraniali tego czynić. Tylko upominali, żeby to robie po kryjomu. Nawet sobie wówczas człowiek nie wyobrażał, jak byli traktowani bezbronni, osaczeni poza murami ludzkie.

Dostaliśmy wiadomość od starszego brata. Pisze, że pracuje na kolei w Manheim. Jest więc jakiś znak, że żyje, a to już wiele. Niedługo potem otrzymaliśmy wiadomość od średniego brata, że zatrudniony został u bauera na Pomorzu Zachodnim. Teraz więc już trochę spokojniejsi borykamy się ze swoim losem.

Zimę ledwie przetrzymaliśmy. Dokuczało nam nieopalone, nieuszczelnione, zimne mieszkanie (lokal sklepowy) z wyjściem na ulicę i z posadzką. Bardzo dobrze pamiętam te chłodne i głodne dni. I to ciągle oczekiwanie, że może już lada dzień życie zmieni się na lepsze. Do szkoły chodziło się „w kratkę”. Świąt Bożego Narodzenia i choinki nie było od „przed wojny”. Gdzieś tam błysnęła światłami choinka, ale to zapewne w niemieckich domach. Kołęd nie wolno było śpiewać. Okna zaciemniane, a więc i atmosfery świątecznej nie było.

Przyszła wiosna 1942 roku, a każda wiosna ma to do siebie, że przynosi jakąś odnowę, odmianę, coś lepszego, weselszego. Niestety u nas w domu nic lepszego się nie działo i na świecie też. Ojciec już leżał w łóżku, nie podnosił się. Ponieważ matka szła do pracy, ja musiałam wszystko w domu zrobić koło ojca, chodzić po zakupy do RGO i opiekować się braciszkiem. Matka posłała mnie do kościoła na naukę religii, abym przystąpiła do Komunii Św. Chodziłam do Katedry Św. Jana na katechizm. Przystąpiłam do Komunii Świętej razem z dziećmi, wśród których więcej było tych biednych. Nie wszystkich było stać na strojne, długie suknie i piękne pantofelki. Ja byłam bardzo skromnie ubrana – miałam białą, krótką sukienkę i kokardę na głowie. Z butami był straszny problem, bo białych nie miałam. W ostatniej chwili trzeba było przemaalować białą farbą. Wianuszka z kwiatków też nie miałam (dostałam od p. katechetki w ostatniej chwili). Po doniosłej uroczystości najfajniejsze było śniadanie u księdza i katechetki. Było kakao, bułeczki i cukierki, a więc pycha.

Przyszło lato. Znowu spędzamy je w mieście. Chodzimy z braciszkiem na półkolonie. Były one organizowane w ogródkach jordanowskich nad Wisłą. Przychodziło się tam rano, dostawało kubek kawy, chleb i obiad. Jeżeli przyszło się zbyt późno – brama była zamknięta i trzeba było wracać do domu. My w takich przypadkach nie wracaliśmy do siebie, tylko chodziliśmy sobie cały dzień po ulicach lub nad Wisłą, albo szliśmy do kościoła.

W kwietniu 1943 roku zmarł nasz ojciec. Pogrzeb był cichy. Bardzo z braciszkiem płakaliśmy. Dom nasz rozsypywał się. Ciągle kogoś z rodziny ubywało. Matka całe dni w pracy, a my sami. Po śmierci ojca matka postanowiła nas umieścić w Domach Dziecka. Ja miałam od września pójść na stały pobyt do Internatu, a braciszek do Olina koło Otwocka do Prewentorium. Najbardziej było nam smutno, że się rozstaniemy. Ale jeszcze przed tym rozstaniem byliśmy ze sobą do czerwca.

Któregoś ciepłego, czerwcowego dnia, wybraliśmy się nad Wisłę. Ludzie kąpali się, siedzieli na brzegu, zażywali powietrza i beznadziejnie przyglądali się pracującym pogłębiarkom. Naturalnie mój kochany braciszek też poszedł się kąpać. Nie umiał pływać, ale chlapał się przy brzegu. Ja sobie siedziałam na plaży. Byłam czymś zaaferowana i straciłam go z oczu. Nagle słyszę: „topi się, topi się!”. Odruchowo szukam swojego braciszka, rozglądam się i nie widzę go wśród kąpiących się lebków. Nagle zrobił się ruch i krzyk. Jakiś mężczyzna stojący tuż nad brzegiem skoczył do wody. Podobno mój braciszek już trzeci raz wypływał na powierzchnię. Ratunek przyszedł więc w samą porę. Wzięto mojego braciszka na wagon kolejowy i zaczęto stosować sztuczne oddychanie. Jeszcze oddychał, więc udało się go uratować. Ludzie zaczęli dopytywać się, kto z nim jest, gdzie mieszka itp. Ja w płacz. Zaczęli na mnie krzyżeć, że taka duża dziewczynka i nie pilnuje brata itd. Braciszek powracał do życia, więc postawili go na chwiejnych nóżkach i kazali nam zmykać do domu, bo mogą być nieprzyjemności. Ledwo tego braciszka za sobą wlokłam. Cały czas beczałam. Nie dałabym rady go unieść, a on taki półprzytomny włożył się za mną i z buzi wylatywała mu woda. Miał duży brzuch. Pytałam go co mu dolega, a on tylko kręcił główką. Przywlekliśmy się do domu i zaraz położyłam go do łóżka. Spał bardzo długo, a ja nasłuchiwałam, czy oddycha, czy nie umarł. Bardzo się bałam co matka powie, jak wróci z pracy. Braciszek po kilku godzinach obudził się i powiedział, że głowa go boli. Ponieważ po moim ojcu pozostało jeszcze trochę różnych lekarstw, więc wyszukałam proszek od bólu głowy – „kogutka”. Wsypałam mu to do buzi i dałam wody popić, ale on to zwrócił. Organizm nic nie przyjął. Wróciła matka z pracy i pobiegła z nim do lekarza. Lekarz dał zastrzyk i braciszek powracał do zdrowia.

Po tym zajściu matka udzieliła mi ustnej reprimendy. Od tamtej pory lepiej zajmowałam się braciszkiem. Pozostawał jeszcze w łóżku, a ja całe dni nie opuszczałam go ani na chwilę. Jak tylko powrócił do zdrowia matka wywiozła go do Prewentorium, a ja zostałam zupełnie sama. Od września miałam pójść do Internatu. Aby nie pozostawała sama w domu, na całe dni matka wywoziła mnie do kuzynki pod Warszawę. Ja jednak bardzo tam płakałam i chciałam wrócić do domu. Kuzynka pisała listy do matki, żeby mnie zabrała, bo ja ciągle płaczę i chcę pieszo wracać do Warszawy.

Przyszedł koniec sierpnia 1943 roku i musiałam się stawić w Internacie (Warszawa Koło). Odwiozła mnie tam matka. Moje pierwsze odczucie po przybyciu do Internatu nie było pozytywne. Przyjęła nas

starsza pani – kierowniczką o bardzo surowym wyglądzie. Zaprowadziła mnie na salę, wskazała łóżko i szafę, w której będę trzymała swoje osobiste rzeczy. Dziewczynek na sali nie było. Miały jakieś zajęcia na świetlicy. Słyszałam tylko dobiegający stamtąd gwar. Matka pożegnała się ze mną i powiedziała, że mnie niedługo odwiedzi. Ja zostałam zapłakana. Przybiegły dziewczynki, obstały mnie i wypytywały o personalia. Czułam się bardzo zagubiona i samotna, więc prawie nie odpowiadałam na zadawane mi pytania. Męczył mnie panujący tam hałas. Chowalam się po kątach i popłakiwałam. Tak było przez kilka dni. Niedługo zaczęły się lekcje, obowiązki (dyżury) i internatowy rygor. Nie było już czasu na beczenie.

Nareszcie po raz pierwszy od kilku lat miałam w Internacie choinkę na Boże Narodzenie. Starsze dziewczynki przygotowywały przedstawienie – jasełka. Matka mnie odwiedziła w czasie świąt. Do mojego braciszka³ też jeździła, ale tam było trochę dalej – trzeba było jechać pociągiem do Otwocka, a potem pieszo do Olina. Przyniosła mi od niego wiadomość, że czuje się dobrze i że nie płacze. A może tylko tak matce mówił? W każdym bądź razie ja najbardziej za nim tęsknię.

Już po Bożym Narodzeniu zaaklimatyzowałam się w Internacie na dobre. Matka przyjeżdżała regularnie, raz do mnie, raz do braciszka. Mnie czasem zabierała do domu i wtedy jeździliśmy na grób ojca. W lipcu Internat pustoszeje i pozostaje nas dziewczynek niewiele. Matka przyjeżdża znów kiedyś i przynosi wiadomość, że mój brat najstarszy uciekał z Menheim. Niemcy złapali go, odbył się sąd, jest w więzieniu i mają go gdzieś wysłać. Brat pisał w liście, że martwi się o matkę, jak daje sobie radę po śmierci ojca z nami, że trochę chorował i ma więcej siwych włosów. Jeżeli by matka mogła, żeby mu przysłała paczkę z chlebem i cebulą do więzienia. Wiem, że matka takie paczki wysyłała.

Drugi mój brat również uciekał od bauera do Polski. Niemcy złapali go pod Łodzią i tam osadzili w bardzo ciężkim obozie, gdzie nabawił się duru brzuszego i ledwo przeżył. Po odsiedzeniu iluś miesięcy wysłany został ponownie do pracy na roli, ale był pod specjalnym nadzorem.

1 sierpnia 1944 roku wybuchła Powstanie Warszawskie. Ja nie wiem co się dzieje. Nie bardzo zdawałam sobie z tego sprawę, co to jest Powstanie. W Internacie biegania i zamieszanie. Wyskakujemy przed budynek i widzimy w oddali nad miastem ogień palących się domów i wybuchy pocisków. Najstraszniejszy był widok wieczorem. Kierowniczką i wychowawczynią zabraniają nam oddalać się z Internatu. Ja naturalnie płaczę i chcę do domu – do matki. Kierownictwo likwiduje Internat. Przenosimy się – każda ze swoim dobytkiem – do pobliskiej szkoły i tam w schronach nocujemy. Na drugi czy trzeci dzień Powstania odwiedziła mnie matka. Była bardzo brudna, w letniej, pogniecionej sukience, z torebką pod pachą. Powstanie zastało ją tak jak wyszła z domu (na Starym Mieście). Już do domu nie wróciła. Ucałowałyśmy się i już byłam szczęśliwa, że jestem z nią. Zjadła z nami jakiś posiłek i powiedziała kierowniczkce Internatu, że mnie zabiera. Odradzano jej. Proponowano, żeby przeczekała, żeby została jeszcze aż to się skończy. Nikt nie wyobrażał sobie, że Powstanie będzie trwało 63 dni!

Dopytywałam się matki, co dzieje się z moim braciszkiem, ale ona nie umiała nic na ten temat powiedzieć. Któż to mógł wiedzieć, co mogło się stać tam gdzie on przebywał...

Wyruszamy ulicami do domu. Idziemy do jednej ulicy – nie puszczają. Idziemy do drugiej ulicy – strzelają. Krążymy po różnych podwórkach, przez jakieś ogródki, potem przez cmentarz. Raz czołgamy się, żeby przejść dosłownie jakiś kawałeczek, to znów biegiem przez jakieś rowy, pod kulami. I tak kilka godzin błądzimy różnymi drogami. Ja mam przy sobie swój dobytek, czyli walizeczkę z ubraniami, którą trzymam kurczowo. Dostałyśmy od kierowniczkki Internatu koc i też nie rozstajemy się z nim pomimo ciepła. Nadchodzi wieczór, a nam gdzieś tam jeszcze do domu. Dopiero ul. Młynarska. Zatrzymujemy się w schronie na noc – bez jedzenia i picia. Na drugi dzień wychodzimy i idziemy okrężnymi ulicami. Możemy się poruszać tylko tam, gdzie są powstańcy. Już dwa dni krążymy, żeby dostać się na Nowy Zjazd lub do ciotki na ulicę Furmańską.

Do domu nigdy już nie doszłyśmy, ponieważ na wiadukcie prowadzącym na Most Kierbedzia byli Niemcy i strzelali z góry. Dostanie się tam było więc sennym marzeniem. Znalazłyśmy się na ul. Czerwonego Krzyża i Topiel. Pomagamy przy budowie barykady, noszeniu worków z piaskiem oraz jakichś mebli, które ludzie wyrzucają z mieszkań. Czekamy na sytuację, która pozwoli nam przebiec na drugą stronę ulicy, a tam już niedaleko do ciotki na ul. Solec. Bardzo dużo ludzi czeka razem z nami. Nie wiemy czy są tam Niemcy, bo strzałów nie słychać. Na usilne prośby czekających, a szczególnie jednej kobiety z 5-letnią dziewczynką, postanowiono: niech pierwsza idzie dziewczynka, niosąc białe płótno na kij. Ona mieszkała najbliżej i bardzo chciała się dostać do domu. My z matką miałyśmy iść zaraz za nimi. Kobieta wyszła zza barykady, podniosła wysoko białą flagę i trzymając dziecko za rękę zrobiła może dwa-trzy kroki. A tu nagle cała seria strzałów. Kobieta pada, a dziewczynka stoi nad matką i zaczyna płakać. Będący w pobliżu powstańcy wołają: „wróć, wróć...!” I dziewczynka cofa się. Powstańcy ściągają kobietę jakimiś kijami, ale niestety nie żyje. Stojących w pobliżu ogarnia rozpacz. Dziecko strasznie płacze, krzyczy „mamusiu...” Ktoś się wreszcie nim zaopiekował. Ja naturalnie w szloch. Przecież to mogło się stać z nami. Z przejścia na drugą stronę ulicy rezygnujemy. Pozostajemy dalej na ulicy Topiel i czekamy, aż sytuacja się zmieni. Niedługo czekamy. Powstańcy uprzedzają wszystkich przebywających w okolicznych domach na ul. Topiel, że powinni opuszczać mieszkania,

ponieważ Niemcy w nocy będą wysadzać most, czy też go bombardować i będzie tu niebezpiecznie. W każdym razie – nie mamy co tu dłużej robić. Ruszamy w odwrotnym kierunku, w stronę Furmańskiej, gdzie mieszka ciotka. Idziemy przez podwórka, klatki schodowe, piwnice. Dochodzimy do ul. Karowej, ale tu przeszkoda, gdyż jest ona pod obstrzałem od Krakowskiego Przedmieścia.

Dowiadujemy się, że ma być podkop pod ulicą. Organizuje się chętnych do pomocy przy kopaniu. Pomagamy przy wynoszeniu ziemi w kublach. Czeka dużo ludzi chcących przejść tym kanałem do swoich domów. Nareszcie gotowe. Ustawiamy się kolejno. Naturalnie żadnych tobołów, ani bagaży ze sobą nie można brać, bo nie ma tyle miejsca w podkopie. Wchodzimy do podkopu na czworakach – jeden za drugim. Ja nie chcę się rozstać ze swoją walizeczką, ale muszę ją zostawić. Co się dało związałam w węzełek, resztę na siebie i w drogę. Wlekleśmy się na kolanach jeden za drugim, jak żółwie. Trwało to jak wieczność, a każdy się bał, żeby tam nie zostać na zawsze. Człogający ponagłają się wzajemnie. Niektórym robi się słabo z wycieńczenia i zdenerwowania. Nareszcie powietrze i prześwit. Jesteśmy na drugiej stronie ulicy. Już bezpiecznie, tylko kawałek drogi, przez podwórka i do ciotki. Wchodzimy do mieszkania i rzucamy się sobie w objęcia. Ciotka z dorosłą córką siedzą na tobołkach. Przygotowane w każdej chwili do ewakuacji. Dają nam czegoś rozgotowanego – jakieś kaszy. Nareszcie pod dachem w domu. Układamy się do snu, ale tylko leżymy wyprostowane. Nikt oka nie zmrużył. Po tym przejściu podkopem pozostał mi uraz na całe życie. Rano wpadają wojska ukraińskie – własowcy. Każą wszystkim opuszczać mieszkania i wychodzić na podwórko. Każda z nas bierze co tylko można. Jest nas już więcej, więc ciotka daje nam jakieś platery, ubrania, co cenniejsze rzeczy, no i trochę żywności. Córka ciotki wkłada na mnie swoje futro, odwracając je do góry podszewką. Tak stoimy, nie wiedząc co dalej będzie z nami. Ukraińcy wbiegają do mieszkań, patrzą czy ktoś nie został, czy nie ma mężczyzn, powstańców – i podpalają je. Widzimy, że cała ulica to wielki pochód. Ukraińcy nas popychają, krzyczą coś i pędzą pod górę ul. Bednarską. Dochodzimy do ul. Krakowskie Przedmieście, a tam strzelają w nasze szeregi. Padają zabici i ranni. Niektórzy zatrzymują się, aby ich ratować, ale konwojenci krzyczą, żeby biec. Przebiegamy, a oni chowają się za nami. Tak pędzone przybiegamy na obecny Plac Zwycięstwa. Ja roztrzęsiona – spazmatycznie płaczę. Poza tym jest mi gorąco, oblewa mnie pot i nie mam już siły biec. Trzymam się kurczowo matki. Jakoś szczęśliwie strzelanina na chwilę ustala i dochodzimy do Hal Mirowskich. Tam stoją własowcy. Ustawiają ludzi – lustrują, przeglądają torebki i bagaż ręczny. Zabierają co cenniejsze przedmioty, zrywają z palców pierścienki i obrączki. Wyszarpują kołczyki z uszu. Ludzie płaczą i błagają, a oni – butni – tylko krzyczą i drą dokumenty osobiste. Już bez żadnych bagaży jesteśmy w kościele na ul. Leszno. Tu jest punkt zborny. Stąd partiami pędzą ludzi gdzieś dalej. W kościele widok jest zastraszający. Ludzie leżą na ołtarzu, w konfesjonalach, krzyczą jeden do drugiego, kłócą się, płaczą i modlą, nawołują, z błędnymi oczami oczekują (może na jakiś cud?). Ja, cała w szlochach. Ktoś matce podaje krople walerianowe dla mnie na uspokojenie. I chwila odpoczynku. Znow Ukraińcy każą wychodzić z kościoła, ustawiać się w szeregi i tak pędzą ul. Leszno. Po drodze widać dogorywające domy, leżą ponadpalane ludzkie zwłoki, konie i inne zwierzęta. Pełno kluczy od mieszkań. Ostatnia droga z Warszawy usiana kluczami. Domy poza nami. Wszystko stracone... I teraz dokąd dalej? Do Fortów Bema, do pociągu i do Pruszkowa. Oglądamy się jeszcze przy wejściu do wagonu na ostatnie budynki. Chyba niejeden zastanawia się, czy jeszcze tu wróci i zobaczy znow swoje miasto. Ja coraz dalej od mojego braciszka. Nie wiemy co tam u niego się dzieje, gdzie on teraz może się znajdować. Czy on coś przeczuwa, czy wie co się z nami dzieje?

Jedziemy niedługo – tylko do Pruszkowa. Tu dopiero cała „pielgrzymka” z Warszawy. Ludzie się gubią i odnajdują, całują i płaczą. Każą nam się ulokować w wielkich halach, gdzie kto może. My rozkładamy się jak najbliżej wyjścia, aby w razie czego móc się ratować. Nocujemy na zimnym betonie. Rano selekcja. Spisują ludzi do transportu do Niemiec – na roboty. Bardzo wiele osób ryzykuje ucieczkę z Pruszkowa lub załatwia sobie zwolnienie. Moja matka ze mną – roztrzęsioną nerwowo – nie może się rozstać ani na chwilę, bo ja jej nie daję odejść od siebie. Gdzie ona może myśleć o jakiejś ucieczce!

Ładują nas do wagonów towarowych, ryglują drzwi i cały skład pociągu gotowy. Wyruszamy. Dokąd...? W Skierniewicach ktoś otwiera drzwi wagonu, mamy trochę powietrza. Ludzie ze stacji podbiegają do naszego transportu, chcą coś podawać do picia, jedzenia, a my im napisane naprędce jakieś karteczki z nazwiskami do rodzin i adresami. Niemcy nie pozwalają, strzelają i odganiają. Ruszamy dalej. Pociąg wlecze się, przystaje, ale już można odsunąć drzwi, zrobić szparę dla powietrza. Swoje potrzeby fizjologiczne załatwiamy podczas jazdy pociągu. Tak jedziemy dwie doby. Wreszcie zatrzymujemy się. Odczepiają część wagonów i wysiadamy. Jakiś budynek – jak się okazało cegielnia – otoczony wałami. Ktoś, kto zna język niemiecki dowiadyuje się, że tu nas będą segregować i wysyłać do różnych miejsc pracy.

Dają nam jakieś zupy i chleba. W cegielni każą nam się ulokować. Tam są takie „przedziały”, „kojce”, jest słoma, więc my z ciotką i jeszcze jakaś znajoma z Warszawy sadowimy się na piętrze w jednym z takich „przedziałów”. Nie wiemy ile tu nas będą trzymać. W pobliżu przepływa strużka, czy jakiś strumyczek. Ludzie rzucają się do tej wody. Jedni piją, a drudzy myją się i piorą. Przecież już

dziesięć dni jesteśmy bez mycia i czesania. W cegielni nocujemy, ale co to za spanie, jeśli ktoś koło nas przeraźliwie jęczy, ktoś kaszle, pluje i siusia. Pomimo wyczerpania sen nie przychodzi. Na świecie lato w pełni. Jak to dobrze, że ciepło, bo ten budynek jest bez okien i drzwi. Ludzie zaczynają masowo chorować.

Na drugi dzień do lekarza. Wszyscy stawiają się przed jakimś Niemcem mówiącym po polsku. Mnie radzą kobiety, że bym się nie pokazywała, bo podobno tu będzie selekcja. Tylko zdrowe i silne kobiety będą potrzebne, a z resztą nie wiadomo co zrobią. Zostawią tu...? Zabiją? A zatem znów lęk. Moja matka staje przed lekarzem. Uznają, że zdrowa i że pójdzie pracować do fabryki czekolady. Ja słyszę i w duchu powtarzam: „czekolady, wafli, czekolady, wafli...”

Tworzą grupę ze 150 kobiet. Tych niby zdolnych do pracy – to znaczy takich nieułamanych, bo zdrowa to z nich żadna już wtedy nie była. Ładują nas na jakąś platformę samochodową. Dokąd jedziemy? Najpierw do dezynfekcji, czyli do „mykwy”. Ja ukrywam się za kobietami. Jakoś mnie ukrytą przewożą. Każą rozebrać się do naga w „mykwie” i do parówki, takiej bez wody. Bardzo tam było duszno. Matka mdleje i wiele innych kobiet. Tak nas potrzymali i wynieśli resztki naszych ubrań. Po dezynfekcji była to kupa łąchów. Część ubrań podarta. Po „mykwie” i „dezynfekcji” znów nas ładują do wagonów. Ja ciągle się chowam, bo boję się, że mnie oddzielią od dorosłych. Wysadzają nas na stacji Freiburg (Świebodzice). Tu pędzą do baraków – cały kompleks za drutami. Przyjmuje nas jeden bardzo elegancki pan, ale nie w mundurze. Był to podobno dyrektor fabryki. Jest z nim dolmetscherka, która nam mówi, gdzie kto będzie pracował. Na mój widok robią zdziwioną minę – „a skąd to dziecko tu się wzięło? Przecież ona nie będzie mogła pracować w fabryce!”. „Ile ty masz lat?” – pytają, a ja mówię, że już 15 (a przecież wyglądam na 12-13). Niemiec powątpiewając kręci głową na moją odpowiedź. Dokumentów żadnych nikt nie miał.

Moją matkę przydzielają do fabryki, gdzie myje różnej wielkości szkiełka (cały dzień ręce w wodzie). Ciotkę do działu jakichś lamp. I tak te wszystkie kobiety rozdzielają po różnych działach fabryki. Część z nich idzie faktycznie do fabryki czekolady, ale niestety nie ja i nie moja matka. W duchu myślę sobie – jaka to szkoda, najadłabym się tej czekolady tyle, że by mi chyba do końca życia wystarczyło.

Nocujemy w baraku w pomieszczeniach po kilka osób – na słomie. Rano pobudka. Wydają nam buty – drewniaki, jakieś szare ubrania i do przyszycia literki „P” na materiale. Dolmetscherka każe nam się ładnie uczesać, ubrać, ale nie w te ubrania, które dostałyśmy tylko lepsze. Jedną od drugiej coś z ubrania pożyczają. Robią nam zdjęcia do dowodów osobistych czy przepustek. Przy zdjęciach próbują nas rozśmieszać. W pobliżu widać następny barak (ale za drutami), skąd dobiegają obcojęzyczne rozmowy. Są to mężczyźni. Kiwiają do nas, wołają. Chyba od wielu miesięcy nie widzieli naraz tyle kobiet. Lecz my widząc ich za drutami wcale nie jesteśmy wesołe. Po zdjęciach każą nam się ustawić w czwórki i prowadzą do fabryki. Przychodzi po nas werkschutz z karabinem i wprowadza na teren fabryki. W zakładzie jest też stołówka, w której pracują przydzielone tam kobiety. Rozprowadzają nas po działach. Mnie odsyłają do baraku biurowego i każą sprzątać w pokojach. Robię to bardzo sumiennie, bo boję się, że mnie zabiorą od matki. Pracujące tam Niemki rozczulają się nade mną. O coś wypytują, ale ja nie mam do nich zaufania. Przynoszą mi jakieś ubrania, bo moje jest już w strzępach, czasem coś do zjedzenia. Zagadują łamaną polszczyzną (a więc chyba ślązaczki), ale pomimo tego niby „ludzkiego traktowania” ja ich nie lubię.

Na drugi dzień przenoszą nas – w tym samym Freiburgu – do wielkiej sali (chyba dawnej kaplicy) bliżej fabryki. U góry pod sufitem napis w języku gotyckim i malowidło Pana Jezusa z rozłożonymi rękami. Nareszcie każda dostaje swoje łóżko, siennik papierowy i z wiorami i takąż poduszkę oraz koc. My z matką zajmujemy pryczę blisko wyjścia. Ja naturalnie „na piętrze”. WC na podwórku (ale podwórko odgrodzone drutami). Na posesji obok – ogród. Jest już wrzesień, a tam na drzewach jabłuszka uśmiechają się do nas i nęcą swoją rumianością. Ale nie można nawet tych z ziemi podnieść. Niemiec miał prawo zabić nas za to.

Pamiętam bardzo dobrze, jak nas pędzono na nasze niedzielne kopanie, a stojący na chodnikach Niemcy pluli na nas i dzieci wołały „polnische schweine”. Tak się wtedy jakoś okropnie czułam, że gdybym miała siłę, to za ponizienia nie wiem co bym im zrobiła!

Życie obozowe wchodzi w nawyk. Codziennie pobudka i do pracy. Posiłki na terenie fabryki. Rano kromka chleba z margaryną lub buraczaną marmoladą, kawa. Na obiad zupa brukwiowa lub bobrowa, kartofle w obierkach. Na kolację kromka chleba. I tak w kółko.

Kobiety zaczynają chorować. Nie chodzą do pracy. Chorych jest coraz więcej. Dolmetscherka upomina, że te, które nie będą pracować i będą chorowały zostaną wysłane tam, skąd się nie wraca. Poskutkowało. Przestały chorować i szły do swoich zajęć chociaż naprawdę niedomagały. Ich organizmy były aż nadto wycieńczone. Ciekawe, że kobiety przestają chorować na comiesięczne przypadłości. Podobno dostawałyśmy coś do jedzenia, powodujące zatrzymanie miesiączki. Niemcy również mieli spokój, bo nie musieli zaopatrywać nas w bardzo cenny materiał opatrunkowy.

Święta Bożego Narodzenia spędzamy w niewoli. Dolmetscherka przynosi nam do obozu choinkę i ubieramy ją jakimś białymi papierkami. Mamy w naszym obozie „księdza-kobietę”. Odmawiamy z nią codziennie rano i wieczorem modlitwy. Śpiewamy po cichu kolędy.

Zbliżający się front daje nam się we znaki. W nocy alarmy i wypędzanie nas w pole – jak najdalej od zabudowań. W oddali widać nad Wrocławiem wybuchy bomb i pożary. Nad polami warkot przelatujących samolotów. Te nocne pielgrzymki dawały nam się we znaki, bo już była zima. Zakładałyśmy koce na głowę i jak jakaś karawana słyśmy w pole, od czasu do czasu potykając się o zamrożone grudy ziemi. Wartownik nas pilnował i po skończonym alarmie prowadził do obozu.

Matka pytała dolmetscherki, czy wolno nam wysłać listy. Dowiadujemy się, że na teren Niemiec tak, ale do Polski, do Warszawy – nie, bo już Warszawa nie istnieje. Piszę matkę list do średniego brata, przebywającego u bauera. Do starszego nie mamy adresu, nie wiemy gdzie przebywa. O Boże, Boże... Często poplakujemy sobie i myślimy, co się dzieje z moim najmłodszym braciszkiem. On taka sierotka, nie wie czy my żyjemy. Czy on żyje – też nie wiemy. Matce serce się ścisza i tylko prosi Boga, aby dał nam siłę przetrwać te okropności.

W lutym dowiadujemy się, że ewakuują fabrykę i nas z nią gdyż front się zbliża. Znów podróż. Ładują nas do wagonów. Jedziemy. Znów odcepiają nas gdzieś lub doczepiają. Dwa dni – podczas trwających nalotów – siedzimy w tych wagonach na różnych stacjach i bocznicach. Gdzie się znajdujemy – tego nie wiemy. Od czasu do czasu przychodzi Niemiec, otwiera wagon, załatwiamy swoje potrzeby fizjologiczne, dają nam jakąś zupę, zamykają i znów czekamy. Znów jedziemy trochę. Wysadzają nas na małej stacyjce. Potem dowiadujemy się, że to m. Grösreschen. Jakaś mała filia fabryki AEG. W barakach z powybijanymi szybami lokujemy się na słomie, bez prycz. Tam w fabryce zatrudniają nas do prac porządkowych. Wyczuwa się jakąś dezorganizację. Już nami się tak bardzo nie zajmują nie mamy naszego wartownika z karabinem, tylko dolmetscherkę. Na wyżywieniu też się to odbija, bo już nie dostajemy posiłków trzy razy dziennie, tylko dwa lub raz. Jesteśmy świadkami częstych nalotów. Już nas w pole nie wypędzają. W pobliżu spadają płonące samoloty. Możemy iść, gdzie nam się podoba, nikt by się z tego powodu nie martwił. Ale gdzie? Na świecie wiosna radosna, słońko świeci dla wszystkich jednakowo, dla tych barbarzyńców i dla nas – umęczonych, bezbronnych. W okolicy słychać bicie dzwonów, ale nam do kościoła nie wolno chodzić. Jest Wielkanoc. Jesteśmy ledwie żywe, ledwie powłóczymy nogami. Brak sił i coraz słabsze wyżywienie są wyraźnie odczuwalne.

W połowie kwietnia znów przychodzi werkschutz i każe przygotować się do podróży. Dokąd – nie wiemy. Znów na stację. Do wagonów i jedziemy chyba ze dwa dni. Znów pod bombami i nalotami. Wysadzają nas i prowadzą do jakiejś zbombardowanej fabryki. Lokują nas w opuszczonych barakach. Miasto wymarłe, cisza. Prowadzi nas jeden Niemiec do fabryki AEG. Jest zburzona. Każe nam odgruzowywać. Fabryka wyludniona. Nie wiadomo co będzie dalej. Nikt nas nie pilnuje. Raz dziennie przynoszą nam zupę w kotle i rozdają chleb. Co będzie z nami dalej? Wszystkie kobiety podniecone. Nie wiemy, czy ta cisza, to na dobre czy złe. Czy przed burzą?

17 kwietnia 1945 roku w godzinach popołudniowych w Orschesleben (tak się nazywało to miasto), na szosie widocznej z naszych baraków, słychać pojedyncze strzały i pokazują się czołgi. Nikt nas nie pilnuje. Wśród kobiet robi się wrzawa. Któraś dostrzega, że na czołgach nie swastyki, lecz białe gwiazdy. Nie wiemy, jakie to wojska, ale na pewno nasi wyzwolicieli. Machamy rękami, ale pierwsze z czołgów jadą dalej. Następne jednak się zatrzymują i usiłujemy z nimi nawiązać kontakt. Wiemy już, że są to Amerykanie. Rozdają nam czekoladę, papierosy, jakieś konserwy i jadą dalej.

Czołgi przejechały. W mieście cisza, jakby wszystko wymarło. Podchodzimy bliżej zabudowań – dalej cisza. Nie wiemy – może Niemcy się tylko pochowali i zaraz zaczną strzelać. I jeszcze niepewne wracamy do swoich baraków. Przed wieczorem przychodzi do nas, do baraków, jeden oficer amerykański i rozmawia z dolmetscherką. Dowiaduje się, że jesteśmy już wyzwolone. Jednak dolmetscherka uprzedza kobiety, że tutaj będzie niedługo dużo wojska. Będą Murzyni, którzy mogą do nas przyjść, więc kobiety nie powinny się z nimi „zadawać”. Mnie, jako najmłodszej, kazały się schować i nie wychodzić, aż wszystko się uspokoi. Przed wieczorem rzeczywiście przyszli do nas żołnierze amerykańscy, w tym i Murzyni, ale jak się okazało atmosfera była bezpieczna i przyjazna. Matka uznała więc, że mogą wyjść ze swojego schowka. Wyszłam do żołnierzy, którzy bardzo się nade mną litowali. Mówili, że oni też gdzieś tam daleko pozostawili swoje dzieci i rodziny. Dostałam bardzo dużo słodyczy, czekolady, gumy do żucia. Na te swoje 15 lat byłam bardzo słabo rozwinięta fizycznie, więc tym bardziej wzbudzałam w nich litość. Bardzo wielu z nich mówiło łamaną polszczyzną. Opowiadali na tym wspólnym „wieczorze wolności”, że oni i ich rodziny również są z Polski, tylko że Polskę opuścili jak byli małymi dziećmi. Tym bardziej było to wzruszające, że intonowali nam polskie piosenki, które razem śpiewaliśmy.

Mamy się przenieść z tych baraków, w których mieszkamy, do „prawdziwych” domów. Przeprowadzamy się do samego miasta i tam zajmujemy kilkupokojowe wille. Zajmujemy pokoje po kilka kobiet w każdym. Jedne salon, inne sypialnię i nareszcie mieszkamy jak ludzie. Mieszkania ogołoczone były ze wszystkich rzeczy, które Niemcy zdążyli jeszcze wywieść. Pozostały tylko meble. My z matką

zajmujemy sypialnię. Śpimy na pięknym podwójnym łóżku z piernatem. Ach, jaka rozkosz! Myjemy się i dostajemy jakieś paczki z konserwami i nareszcie cieszymy się wolnością

Przychodzą do nas polscy powstańcy, wyzwoleni również przez Amerykanów z obozów i oflagów. Rzucamy się sobie w objęcia, dopytujemy się – my ich, oni nas – czy wiedzą coś o Warszawie, o znajomych, gdzie mieszkali itp.

W Orschesleben tworzy się dowództwo naszych żołnierzy, wyzwolonych z oflagów. Przeprowadzają nas do koszar poniemieckich i tam w kilku budynkach lokują wszystkich Polaków, którzy przebywali na robotach, czy w obozach. Leczą nas i odżywiają. Jednak długo tam nie jesteśmy. Przewożą nas pociągami do Hameln do jeszcze większych koszar. Organizuje się duże zgrupowanie Polaków z naszym dowództwem, jednakże pod ogólnym zarządem okupacyjnych władz alianckich. Dostajemy przydziały różnych materiałów, leków i żywności. Nareszcie odżywiamy się normalnie i szybko powracamy do sił i zdrowia. Po kilku miesiącach dowiadujemy się, że można wyjeżdżać, gdzie kto chce i że są organizowane transporty do Polski. My oczywiście chcemy do Polski, do mojego braciszka.

Decydujemy się na powrót. Z Hameln dojeżdżamy wojskowym transportem samochodowym aż do Szczecina. Tu rejestrują nas jako repatriantów, wydają jakieś dokumenty na przejazd pociągiem i po 100 zł. Jedziemy do Warszawy. Nie będę opisywać co tam zastałyśmy. Mojego wzruszenia również nie jestem w stanie opisać. Naszego mieszkania nie ma. Dowiadujemy się, że średni brat żyje. Był w Warszawie, szukał nas i zostawił adres. U rodziny na Pradze zatrzymujemy się na kilka dni. Matka niezwłocznie jedzie do Olina. Tam dowiaduje się, że zakład zlikwidowany, a dzieci zostały uznane za sieroty i oddane do sierocińca prowadzonego przez zakonnice. Matka jedzie tam natychmiast i tu wzruszenie nie do opisania, które można wyrazić tylko łzami. Jest! Żyje mój braciszek! Ujrawszy matkę woła: „Moja mamuńka po mnie przyjechała – już nie jestem sierotką!”. Niestety najstarszy brat nie wrócił. Zginął w obozie koncentracyjnym w Neuengamme pod Hamburgiem. Okazało się, że z więzienia, do którego dostał się po próbie ucieczki został przewieziony do tego właśnie obozu. Średni brat, który był na robotach rolnych, nie mając gdzie wracać, osiedlił się na stały pobyt na Pomorzu Zachodnim. On właśnie stał się dla nas – rozbitków, bez dachu nad głową – przystanią na pierwsze miesiące pobytu w Kraju.